

# Kronika tygodniowa.

Ponieważ mam już takie szczęście paskudne, iż, ilekroć zacznę pisać o pogodzie, trzeba być przygotowanym na deszcz, zwrócono się do mnie z kilku stron, bym zaczął pisać o gorącu, a może jakoś rtęć w termometrze spadnie, bo trudno już wytrzymać, zwłaszcza, że nie przyjął się jeszcze u nas zwyczaj chodzenia w takim kostiumie, jakiego używają mieszkańcy, sąsiadujący z równikiem.

Czyniąc zadość niniejszemu żądaniu, wstęp kroniki poświęcam kanikule i to kanikule w całym tego słowa znaczeniu.

Od kilku tygodni mamy pogodę, jakby wymarzoną, ale wreszcie i ona przejadła się Krakowianom, bo przyzna chyba każdy, że nie należy to wcale do przyjemności, jeśli człowiek musi się pocić dzień po dniu. Raz, lub dwa razy w tygodniu to zupełnie wystarczy, ale nie siedm razy.

Gdyby to choć można było wypłukać należycie swe grzeszne cielsko. Niestety, nie każdy to może uczynić, zwłaszcza, że przewidujący wszystko z góry magistrat, rozporządzeniem, datowanym jeszcze z roku 1914, zamknął nam na pół dnia wodociąg, a i we Wiśle jest tak mało wody, iż dorosła żaba nie potrafi dać porządnego nurka. A cóż dopiero mówić o człowieku, i to jeszcze dość okazałej tuszy, bo nie każdy miał to szczęście, iż urodził się chudy niczem szparag, lub tyka grochowa.

Ponieważ i ja należę do tej kategorii ludzi, których przy asenterunku uwalniają od służby wojskowej „wegen Fettleibigkeit“, klnę też, na czym świat stoi, tego, kto wynalazł gorąco, a nie mogąc się wykapać, chodzę po pokoju, włożywszy ręce w kieszenie, jako ów lew ryczący, a nie wiedzący, kogoby pożarł i gwizdam.

I to mi jakoś dobrze robi.

Wobec tego, że we Wiśle stan wody jest bardzo niski, brakło też wilgoci „źródlanej“ w Smierdzącej i Cholerzynie, a co za tem idzie, niema jej i w miejskim wodociągu, wobec czego wszyscy cierpimy, w szczególności zaś fabrykanci win węgierskich, którzy musieli ograniczyć swą produkcję, co znów odbiło się także i na przemyśle krajowym.

Z tego powodu nie polewa się także ulic, na których unoszą się tumany kurzu, zdaniem bowiem naszych kapacitetów higienicznych lepsze to, niż używanie w tym celu wody wiślanej, w której mogłyby się znaleźć jakieś zdrowiu szkodliwe bakcyle.

Zakład czyszczenia miasta jest wobec tego zagrożony w czarnej rozpacz i przygotowuje ogłoszenie, wzywające mieszkańców miasta do odprawiania nowenny z prośbą o deszcz.

Czy to jednak będzie miało jaki dodatni skutek, ja pozwolę sobie wątpić. Nadworny mój parasolnik, któremu przed dwoma tygodniami oddałem zepsuty deszczochron do naprawy, zapewnił mnie solennie, że aż do chwili, dopóki go nie zwróci, słoty nie będzie. O to prosi Jehowę codziennie rano i wieczór i jest najmocniej przekonany, że modły jego zostaną wysłuchane, zwłaszcza, że Medard przyniósł nam pogodę, a do uroczystości Siedmiu Braci Śpiących (patronowie naszej Rady miejskiej), którzy także lubią wilgoć, jeszcze daleko.

W zupełnie ścisłym związku z tą pogodą i brakiem wody miała stać tajemnicza śmierć łabędzia miejskiego na plantacjach, którego pewnego dnia znaleziono bez życia i bez brzucha! Opowiadano sobie, że popełnił samobójstwo, widząc, że wody w sadzawce coraz mniej, a sympatyzując z Japończykami, urządził sobie harakiri, to jest rozpruł swój żywot, wprowadził nie nożem, ale dzióbem...

Co jednak stało się w takim razie z wnętrznościami, czyli flaczkami? Chyba ich przecież nie zjadł sam, by nie być głodnym w czasie podróży na tamten świat, bo podobno nie znaleziono ich wcale.

By wyświecić sprawę, sprowadzono pospiesznie z Londynu Sherlocka Holmesa, który zaraz na drugi dzień przybył na miejsce wraz z nieodstępnym towarzyszem, dr. Watsonem i po zbadaniu należytem sytuacji orzekł stanowczo, iż ma się w danym wypadku do czynienia ze skrytobójczem morderstwem. Mogło go zaś dokonać jakieś indywiduum o instynktach zwierzęcych, lub może nawet jakieś zwierzę, w każdym razie istota, opatrzona zębami. Czy one były naturalne, czy sztuczne, tego na razie nie mógł skonstatować, zastrzegł też sobie decyzję ostateczną na później.

To jedno jest pewnem, orzekł król detektywów, iż ohydny czyn na niewinnem stworzeniu dopuszczono się w piątek, za czym przemawia okoliczność, iż wygryziono mu tylko flaki, nie ruszając mięsa, którego we wtorki i piątki używać nie wolno pod

żadną postacią, a to pod zagrożeniem grzywny do pięciu tysięcy koron lub kary aresztu do trzech miesięcy, które nie będą policzone do emerytury.

Przy tej sposobności zrobiono na miejscu kilka zdjęć kinematograficznych, a jeden z poetów narodowych obiecał napisać poemat p. t. „Tragiczny zgon łabędzia“, który już w najbliższym czasie ukaże się w handlu księgarskim, a przez Radę szkolną krajową polecany został na nagrody pilności dla szkół wszelkiego rodzaju.

Najwięcej kłopotu z brakiem wody miały przecież nasze panie gospodynie, które, dowiedziawszy się, że wodociąg miejski ma być zamknięty codziennie od godziny dziesiątej rano do piątej popołudniu, na wszelki wypadek, jako przezorne istoty, skwapliwie napełniały wodą wszelkie naczynia, jakie tylko są w domu. więc: balie, cebrzyki, konewki, garnki i t. d., by mieć dość wody pod ręką. Ponieważ żadna z nich nie spotrzebuje ani dziesiątej jej części, popołudniu wylewa się wodę do kanału, pod pretekstem, że jest już ciepła, by nazajutrz powtórzyć tę samą czynność od początku do końca.

W ten sposób marnuje się więc wody więcej, niżby to miało miejsce, gdyby ograniczenia w jej używaniu nie wprowadzono.

Piwośze tylko cieszą się, gdy im bowiem żona lub teściowa zwróci uwagę, iż nie powinni używać tak wiele płynu Gambrynusa, odpowiadają:

— A co mamy pić? Może wodę?... A czem będziecie gotować, w czym pracować?...

I tem się im zamyka usta.

Oby tylko ten brak wody nie wpłynął na dalsze znów ograniczenie fabrykacji piwa i jego podrożenie, bo w takim razie życie nasze stałoby się już rzeczywiście nie do zniesienia. Jestem pewny, że gdyby to nastąpiło, codziennie notowałyby kroniki pism naszych po kilkanaście wypadków samobójstwa z rozpacz. Jedni wieszaliby się na plantach, gdzie dość miejsca dla całego Krakowa, ja wybrałbym sobie najstraszniejszą śmierć, rzucając się w nurty Wisły, wody zaś nie znoszę. Na sam jej widok doznaję przykrego uczucia i gniewienia w dołku podsercowym, na co medycyna zna tylko jedno antidotum, to jest bombkę, lub dwie pilznera, ale dobrego, prosto z beczki.

Cieszymy się przecież nadzieją, że nastaną lepsze czasy, bo wojna nareszcie się już skończy, zwłaszcza, że Włosi nie będą mogli długo wytrzymać, gdyż spaliła się fabryka obuwi w Newark w Stanach Zjednoczonych, która dla nich przygotowała ośmset tysięcy par butów. A boso po skałach chyba łaźić nie będą. Wprawdzie król Wiktor Emanuel, objechał automobilem cały front wojenny, mający ponoć coś około pięćset kilometrów długości i drapał się, raz na skały, drugi raz zaś w głowę, gdy armia jego dostała nad Isonzo lekko po skórze, ale on temu nie winien. Robi, co mu żona każe i może służyć każdemu za wzór posłusznego małżonka.

Najsmutniejsze, że wojnę wypowiedziała nam i Rzeczpospolita San Marino. Tego należało się spodziewać, ale także i obawiać, bo już za jej przykładem pójdzie Andorra? W takim razie byłibyśmy pozbawieni baraniny, a to jedyna deska mięsnego ratunku w postne dni wtorkowe i piątkowe!

Ale Andorra, to już właściwie Hiszpania, choć częściowo zależna jest i od Francji, nie będzie nam więc robić obstrukcji, z Włochami zaś damy sobie jakoś radę.

Turecki minister wojny, Enver basza, jest tego samego zdania, co i ja, powiedział bowiem wyraźnie, iż dotąd Włosi nigdy jeszcze nie zwyciężyli, niedawno zaś ja wyraziłem się, że zawsze brali po skórze, a to w zasadzie na jedno wychodzi. Mówiono mi, i to z bardzo poważnego i wiarygodnego źródła, że stale czytuje on *Nowości Ilustrowane* i miał nawet raz odezwać się do wielkiego wezyra, iż jest prawie pewnym, że kronikarz jest także Młodoturkiem.

Co do tego ostatniego, to jest w błędzie, ja bowiem ani na Młodoturka, ani nawet na Staroturka nie mam żadnych kwalifikacji, choć, prawdę mówiąc, zazdroścę im w głębi duszy tego hartu, jaki okazują, dając sobie radę z tylu żonami i tylu teściowami. Ja mam tylko jedną, a do końca nigdy z nią dojść nie mogę!

Ilekroć wspomnę o swej pocziwej Weronisi, tyle razy przychodzi mi na myśl zaraz „gruba Berta“, a właśnie miałem o niej pisać ze względu na to, iż jej współojciec (chyba współwynalazca?... przyp. zecera), major Maksymilian Bauer, został teraz zamianowany honorowym doktorem filozofii uniwersytetu berlińskiego.

Sądzę, że zaszła tu pomyłka. Gdyby to odemnie zależało, zrobiłbym go doktorem, ale medycyny, przy pomocy bowiem owej „grubej Berty“ więcej osób przeniosło się do wieczności, niżby tego po-

trafli dokonać wszyscy razem lekarze, a oni właśnie są uprzywilejowanymi dostawcami żywego towaru na tamten świat.

Obok „grubej Berty“ wielkie zastosowanie w obecnej wojnie światowej znalazły i karabiny maszynowe, które znów swem trajkotaniem przypominają bardzo młodsze me lato-rośle rodzaju żeńskiego. — Wszystkie trzy odziedziczyły po swej mamie nadzwyczajną wymowność i wyrobienie zawiasów szczegółowych, język zaś obraca się im z taką sprawnością, że w kącie przed nim najbardziej udoskonalona śruba powietrzna!

I im muszę dziś poświęcić słów kilka, a to ze względu na lajkonika. Najstarsza z nich widziała go już coś prawie trzydzieści razy i tego też roku wybierała się w oktawę Bożego Ciała na rynek, niestety, spaliło na panewce. Lajkonika obchód odwołano i odłożono na rok przyszły i to było właśnie powodem, że cały mój dom przez godzin kilka z rzędu był bardzo podobnym do pola bitwy, na którym grają karabiny maszynowe, a od czasu do czasu gruchnie „gruba Berta“.

Córeczki rozpuściły języczki, rozwodząc się nad tem, że naruszono tradycję nie urządzając dorocznego obchodu, od czasu do czasu przytakiwała im mama swym basem, a ja, znudzony wreszcie temi gadaniami, zabawiłem się w nieprzyjaciela, to jest rozpocząłem odwrót i nie oparłem się, aż w bezpiecznym odcinku „pod Obrazem“.

Choć, jeśli prawdę mam powiedzieć, i to miejsce nie jest znów tak bezpiecznem, gdyż często, zwłaszcza w dni kwiatka, zapuszczają tutaj swe zagony amazonki z puszkami i tackami i niepokoją człowieka.

A te dni kwiatka mnożą się z roku na rok. W miarę tego wzrosła natarczywość kwestarek, ale też i odporność ogółu, który, mając coraz mniejsze dochody, musi też i ograniczyć swe wydatki.

I ani nie przypuszczałem, że moja kronika może mieć taki skutek. Gdy ją zaczynałem, słońce prażyło do tego stopnia, że atrament wysechł mi w kałamarzu, a wody nie można było dolać, gdyż wodociąg był zamknięty, zapomnieliśmy zaś pójść w ślady naszych gospodyń i przygotować wilgotne zapasy na czarną, raczej suchą godzinę. W chwili, gdy ją mam kończyć, zmieniło się, jak przewidywałem z góry. Nastąpiło zimno, tak, że człek dzwoni zębami, kto wie, czy nie będziemy mieć i słoty, gdyż mój parasolnik wywiązał się nareszcie z danego przyrzeczenia i przyniósł naprawiony deszczochron, wobec czego o pogodę dłużej niebios napastować chyba nie będzie.

Może i dobrze się stało, że temperatura się obniżyła, gdyż magistrat miasta miał właśnie w tych dniach wydać zakaz kąpania się w Wiśle i Rudawie. ze względu na pływające tam bakcyle cholery i tyfusu, które, aczkolwiek nie posiadały „passierscheinów“ przedostały się przecież do nas na utrapienie pana fizyka.

Innego zdania jest natomiast magistrat czy też starostwo w jakiejś czeskiej miejscowości, nakazało bowiem uchodźcom galicyjskim, zwłaszcza mojąszowego wyznania, myć się, kąpać i strzyż, z czego oni nie są wcale zadowoleni.

Ciekawy jestem, który z panów fizyków ma rację, czeski, czy krakowski. Zasięgałem w tej kwestii zdania jednego z bakteriologów, bo lubię się zawsze pytać, zwłaszcza jeśli czegoś nie wiem, powiedział, że krakowski Urząd zdrowia niepotrzebnie nas tak straszy, im bowiem bakcyliuszów będzie więcej, tem one nam mniej szkody wyrządzają. Między nimi panuje ogromna zawiść i niech tylko bakcyl cholery spotka n. p. gruźliczego, rzuca się nań i pożera, tak, że na placu boju pozostają tylko niedogryzione dwa ogony, które dla ludzkiego zdrowia nie są wcale szkodliwe. Słowem, dzieje się taka historia, jak z owymi słynnymi myszami Radziwiłłowskiemi, o których czytaliśmy ongiś w szkole.

Skoro zawadziłem o szkołę, to muszę zaznaczyć, że nasi czcigodni światłodawcy są bardzo niezadowoleni z rozporządzenia Rady Szkolnej krajowej, na mocy którego rok szkolny 1915 ma się w Galicji skończyć dopiero w drugiej połowie lipca, a to ze względu na to, iż późno się zaczął, oni zaś chcieliby sobie wypocząć i nabrać sił na rok przyszły.

